

Mam 18 lat i już spełniło się moje największe marzenie. Horn minęliśmy dokładnie drugiego lutego o godzinie 15.27. Złożyliśmy hołd tym, którym nie udało się tego dokonać. Na pełnych żaglach coraz bardziej oddalaliśmy się od Hornu. Czułam się szczęśliwa i dumna, ale zarazem pokorna - w końcu to ocean „zezwoił” na ten wyczyn. Teraz obraliśmy kurs na Wyspę Króla Jerzego, leżącą już w Antarktyce. Mieliśmy do przepłynięcia jakieś 300 mil. Życie jachtowe toczyło się swoim normalnym rytmem. Coraz bardziej we znaki dawało się zimno. Temperatura w nocy spadła do zera, co w połączeniu z deszczem, a czasami nawet śniegiem dawało „efekt mrozący”.

Aleksandra Trzaskawska



Stacja antarktyczna im. H. Arctowskiego w oddali wejście do fiordu Ezcurra

Któregoś dnia dostrzegłam w oddali bardzo jasne światło. Okazało się, że to słońce odbija się od lodowców, znajdujących się na „Królu Jerzym”. Byliśmy już prawie u celu. Pojawiły się również pierwsze pingwiny, pociesznie pływające wzdłuż burt. W wodzie wyglądały jak małe delfiny. Widziałam też fontanny tryskające z wody, a potem fragmenty wielkich, tłustych cielsk. Nawet wieloryby nie pogar-

dziły naszym towarzystwem. Polska stacja antarktyczna im. Arctowskiego była tuż, tuż.

Do Zatoki Admiralicji, w której mieliśmy kotwiczyć (nie ma tam żadnej kei) dopłynęliśmy przed świtem. Po kilku dniach w morzu, w arktycznych temperaturach, byłam już trochę zmęczona. Chciałam poczuć pod nogami stały ląd. Choć jeszcze bardziej marzyłam o ciepłym, długim prysznicu. Jednak jak to często

bywa, gdy jest się już bardzo blisko celu, on się znowu oddala. Tak było i w naszym przypadku. Najpierw nie mogliśmy porządnie zakotwiczyć. Kotwica nie trzymała i silny wiatr spychał nas w głąb zatoki. W pewnym momencie była nawet możliwość, że w ogóle „pożegnamy się” z naszą kotwicą - przestała działać winda kotwiczna i dryfowaliśmy ze 100 metrami łańcucha w wodzie. Ostatecznie los się do nas uśmiechnął i udało nam się „zahaczyć” o dno. Od razu podpłynął do nas ponton z załogą z Arctowskiego. Pytali, czy czegoś nam nie potrzeba, no i co najważniejsze pomogli nam uzupełnić zapasy wody. Teraz zatkanowani byliśmy wodą z lodowca sprzed milionów lat. Kawał historii wypełnił **ZAWISZĘ**.

Po zrobieniu klaru na statku, zaczęły się prawdziwe wizyty. Najpierw my pojechaliśmy na stację, gdzie zostaliśmy bardzo ciepło i gościnnie przyjęci. Atmosfera od razu stała się przyjacielska. W miarę upływu czasu ludzie ze stacji odwiedzali statek, a „nasi” pontonem (ponton służył tu za „tramwaj” na trasie Stacja-ZAWISZA) przyjeżdżali na Arctowskiego. W końcu nie wiadomo było kto gdzie jest i gdzie ma zamiar nocować. Wszystkie te rozszady odbywały się jako naturalna dyfuzja. Wieczorem zarówno ze Stacji, jak i ze statku dały się słyszeć głośne śpiewy. Ja spędzałam ten wieczór na pokładzie. Miałam wachtę kotwiczną, a przy okazji przyjmowałam gości - polarników.

Następnego dnia postanowiłam pokręcić się trochę po wyspie. Na stacji dowiedziałam się, że jest tu mnóstwo miejsc, skąd rozciągają się bajeczne widoki na zatokę i okoliczne lodowce. Po krótkiej naradzie „wachta gwardyjska”, w tym również ja, postanowiła pójść na dłuższą pieszą wycieczkę. Chcieliśmy wejść na pobliski szczyt, żeby przekonać się na własne oczy, co do tych cudów. Nasze plany zostały jednak trochę pokrzyżowane... Najpierw przez parę godzin szliśmy wzdłuż brzegu. Potykając się o wyrzucone na plażę kawałki kry,



Uchatka Point niedaleko Przylądka Damey na południowym brzegu wyspy u wejścia do Zatoki Admiralicji. Na drugim planie wody Cieśniny Brausfielda

mijaliśmy pingwiny, które wcale się nas tak bardzo nie bały. Co jakiś czas atakowały nas skuły - ptaki drapieżne, wyglądem przypominające trochę kaczkę domową, które pikując na nas z okropnym piskiem próbowały bronić swoich młodych. Latając tak parę minut kilka centymetrów nad głową, potrafiły człowieka przestraszyć i wyprowadzić z równowagi. Cały czas szukaliśmy jakiegoś w miarę przystępnego wejścia, już na jakikolwiek szczyt. Nic takiego się jednak nie pojawiało. W końcu zdesperowani zaczęliśmy wspinać się po skatach, z nadzieją, że wyżej będzie łatwiej. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy wyżej było coraz trudniej, a zejść z powrotem było równie ciężko. Pchani ambicją brnęliśmy jednak dalej. Po kolejnych kilku godzinach dotarliśmy na szczyt. Ziajani przycupnęliśmy na kamieniu i cały czas broniąc się przed skułami napawaliśmy się widokiem. Najpiękniejsza była mała wysepka na środku zatoki. Miała

kształt wynurzającego się z wody grzbietu smoka. Słońce grało na otaczających nas lodowcach. Była to istna rewia kolorów. No, ale w końcu trzeba było wracać. Tutaj zaczęły się dopiero kłopoty... Robiło się coraz ciemniej. Tą samą drogą zejść się nie dało, a przed nami były same pionowe ściany. Chyba cudem przemknęliśmy się (zjechaliśmy na tyłkach), po jednym ze żlebów, rozdzielających takie ściany. Kiedy szczęśliwi byliśmy już na dole, oczom naszym ukazał się dość pocieszny i zaskakujący widok. Na środku pustej polany, w końcu prawie na obrzeżach świata, stała najzwyklejsza przyczepa campingowa. Była otwarta i zaopatrzona w jedzenie i wodę. Jak się więc okazało było to coś na kształt schroniska, w razie załamania się pogody. Byliśmy dość daleko od stacji, więc takie środki bezpieczeństwa na pewno się przydawały. Zaczęliśmy naszą drogę powrotną, która miała już być „prosta, lekka i przyjemna”... co oczywiście

też się nie sprawdziło. Zapomnieliśmy o przypiływie, który skrzętnie zalał naszą drogę wzdłuż brzegu. Musieliśmy więc skakać po kamieniach albo wspinać się na nadbrzeżne skałki. Jeden kolega nie chcący „zaliczyć” drobną kąpiel. Na Arctowskiego wróciliśmy wymę-



Grób Włodzimierza Puchalskiego na wzgórzu tuż obok Stacji (w tle latarnia morska)

czeniu (i mokrzy), ale zadowoleni, że tak dogłębnie udało nam się poznać chociaż kawałek wyspy.

" Wyspę żegnałam prawie ze łzami w oczach. Spędziłam tu cudowne chwile. Może jeszcze kiedyś tu wrócę? Może jako naukowiec?

Teraz czekało nas znowu kilka dni w morzu. Kierowaliśmy się na północ, do chilijskiego Punta Arenas. Mój żal po opuszczeniu wyspy szybko został osłodzony ukochanym płynięciem. Znowu oczarowały mnie wschody i zachody słońca. Na statku kwitło życie towarzyskie. Każdy opowiadał o swoich wrażeniach ze Stacji i różnych wyprawach w głąb wyspy. Śmiechu przy tym było co niemiara. Dodatkowo sprzyjała nam pogoda. Nie zabrakło również nowości - tym razem udało nam się dostrzec górę lodową. Plusem było również to, że z każdym dniem robiło się coraz cieplej. Jak już byliśmy na wysokości końca Ameryki Południowej, na dłuższy czas wyjrzało nawet słońce, a temperatura powietrza zbliżała się do normalności.

Żaglena „Arctowski”

Największym żaglowcem, który zawinął do Zatoki Admiralicji była nasza polska barkentyna *POGORIA*. Pod dowództwem kpt. Krzysztofa Baranowskiego, wraz z 16 osobami załogi w lutym 1981 roku, przywiozła ekipę i sprzęt V Polskiej Wyprawy Antarktycznej. Zawijały tu też mniejsze jednostki. W kwietniu tego samego roku jacht *ISATIS* z francuskim małżeństwem podróżującym po wodach antarktycznych w latach 1980-82. Latem (styczeń) 1982 roku był tu inny francuski jacht, dwumasztowy *KIM* z 4-osobową załogą uczestniczącą w trwającym 5 lat rejsie. Marzec 1983 - znów Francuzi, jacht *DAMIEN III*, 6 osób i w kolejnym roku, jego poprzednik *DAMIEN II* - już w drodze powrotnej na północ, odwiedził stację, jako ostatni przystanek w swoim antarktycznym rejsie. W marcu 1992 jednomasztowy *ASMA* z 3 osobami załogi przyplłynął tu aż z Grenlandii, gdzie rozpoczął rejs w 1990 roku. 6 lutego 1999 r., w piękny słoneczny dzień Stację odwiedził drugi polski żaglowiec *ZAWISZA CZARNY* - flagowy jacht ZHP pod dowództwem kpt. Waldemara Mieczkowskiego. W Zatoce Admiralicji *ZAWISZA* gościł 3 dni.

Tomasz Janecki

Po wejściu w Cieśninę Magelana żegluga nieco się zmieniła. Fale były mniejsze, za to trudniej było sterować. Działy tu silne prądy o okresowo zmiennych kierunkach. Musieliśmy też pływać „ślalomem” między platformami wiertniczymi,

od których aż się roiło w całej Cieśninie.

Powoli zbliżałam się do końca mojej wielkiej przygody. Czułam to i wcale tym razem nie spieszyło mi się do brzegu.

Fot. Tomasz Janecki



Wulkaniczna wyspa Dufayed w fiordzie Ezcurre. Obok jest kotwiczowisko dla statków transportowych